

Eugeniusz Kurzawa

## Spis treści (4)

(fragmenty)



Fot. Kazimierz Sobacki

Zaproponowałem ośrodek wczasowy w moim Zbąszyniu. Tam wypiliśmy z Andrzejem bruderszaft (co śmieszne, do końca życia mówiliśmy sobie, oczywiście żartem, per pan), Hanka zaś zadeklarowała, że gdy Andrzej już przyzwyczai się mówić do mnie po imieniu, to i ona ze mną wy – pije. Pisząc dziś do żony Andrzeja, odruchowo używam formy „pani”. Zresztą do swojej żony również...

Gdy chłopcy mieli dwa lata z małym hačzykiem, kopnął mnie zaszczyt bycia „chrześnym” starszego o pięć minut bliźniaka – Marcina; wespół z Henią Thiele. W drugiej parze, jako chrzestni Adasia, stanęli Alicja Koperska (żona Jurka Leszina) i Alfred Thiele. Z tym że ta impreza nie oznaczała świeckich chrzcin, uroczystość w zielonogórskim ratuszu nazywała się „nadaniem imienia”. Jak obecnie mówi Anka Sobacka, Adaś jest w tej chwili „sierotą”, bo oboje jego opiekunowie, i Alicja, i Fred, nie żyją... Uroczyste nadanie imienia odbyło się 24 marca 1979 r. Wiem, bo znalazłem zdjęcie. Oglądam na nim z sentymentem niezującego sekretarza redakcji „Nadodrza” Wiesława Nodzyńskiego, Elżbietę Waleńską z sekretariatu, dwóch kolegów Hanka z zielonogórskiego radia – Grzegorza Chwaliboga i Tadeusza Krupę. Ale też, co konstatuje ze zdziwieniem, Kazika Sobackiego, brata Ani, który wówczas chyba studiował bibliotekoznawstwo („po siostrze”) na Uniwersytecie Warszawskim. Z Kazikiem współpracuję do dziś – choć mieszka w Suwałkach – ponieważ zajmuje się profesjonalnym składem książek i wydawnictw.

Mijały miesiące. Często bez specjalnego powodu przychodziłem na Gwardii Ludowej 21, gdyż wiedziałem, iż po położeniu maluchów do łóżek będzie sympatyczna kolacja, a z nią ciekawe rozmowy, nierzadko różne „wykłady” na tematy literackie, barwne historie dotyczące ludzi pióra, życia literackiego. Andrzej pobudził moje zainteresowanie for-

macją poetycką „Orientacja” – do której należał – poniekąd dzięki niemu dowiedziałem się o istnieniu Jurka Leszina, z czasem znalazłem się w redakcji artystycznego czasopisma „Integracje”, które obaj prowadzili. Tu dygresja: pisanie wierszy, artykułów, zajmowałem się jako student już trochę przed tym, zanim spotkaliśmy się z Waśkiewiczem w redakcji „Nadodrza”. I być może nadal rozwijałbym się na własny rachunek jako młody twórca. Poznanie Waśkiewicza skorygowało moje plany, m.in. spowodowało zainteresowanie prasą studencką (którą on wówczas badał) jako zjawiskiem. Napisałem o tym pracę magisterską, później szereg publikacji prasoznawczych, zająłem się nawet badaniami prasy dla Polskiej Akademii Nauk, zaś w latach 80. postanowiłem zrobić doktorat u prof. Walerego Pisarka w Krakowie (patrz hasło: W. Pisarek). Z różnych względów doktoratu nie ukończyłem, jednak przyjacielskie kontakty z profesorem zachowałem do końca.

Wracam do wizyt w domu Waśkiewiczów, do wieczornych rozmów, gdy zasiadaliśmy w dwóch skórzanych fotelach (Ania i ja) i na pufie (Andrzej, oparty plecami o regał), i gadaliśmy. Dla studenta małej, prowincjonalnej uczelni było to ciekawe i pouczające. W efekcie późnym wieczorem wracałem z ulicy Gwardii Ludowej do akademika obładowany wydawnictwami spółki Waśkiewicz – Leszina, antologiami i almanachami, znakomitymi tomikami z cyklu „Generacje” etc. Wczytywałem się w to wszystko i poznawałem nazwiska poetów, teoretyków, a potem – choć nieraz po latach – poznawałem te osobowości bezpośrednio. Nierzadko stawali się bliższymi kolegami lub po prostu znajomymi.

Być może w trakcie owych dysput Andrzej namówił mnie do złożenia zestawu wierszy na debiutancki tomik w serii pilotowanej przez siebie i Leszina pod nazwą „Pokolenie, które wstępuje”. Propozycję szestanstu utworów należało wysłać na ul. Ordynacką 9 w Warszawie, do komisji kultury Zarządu Głównego SZSP; jurorzy wybierali sześć najlepszych zbiorów do druku. Rozstrzygnięcia dotyczące piątej serii „Pokolenia” miały zapasć podczas VI Festiwalu Kultury Studentów PRL w Poznaniu. Brałem udział w tej wielkiej imprezie jako działacz kultury akademickiej. Któregoś festiwalowego dnia w ogromnym holu cesarskiego zamku spotykam Leszina i Waśkiewicza. Jurek, jak to miał w zwyczaju, bezceremonialnie rzucił od razu pod moim adresem: – No to masz tomik, Andrzej ci załatwi!

– Andrzej załatwił?! To ja pierdolę taki tomik! – odezwałem się do Jurka.

– Tak? Bardzo dobrze, nie chcesz, to nie musisz go mieć... – na to Leszina.

I atmosfera robi się gorąca. Na co Andrzej bierze mnie pod rękę i wyciąga z holu.

– Chodź, chodź, pogadamy spokojnie – mówi.

Ale nabuzowany „załatwianiem” nie chce rozmawiać, zwłaszcza spokojnie. Na szczęście Jurek gdzieś sobie poszedł, a Andrzej przeszedł do wyjaśnień.

– Znasz mnie przecież – mówi. – Wiesz, że gówna swoim nazwiskiem bym nie firmował.

Skoro postawiłem na ciebie, to znaczy, że wierzę, iż ma to sens. Jeśli jest pięć podobnych propozycji książek, a o ich autorach niewiele można powiedzieć, zaś o jednym przynajmniej mi coś wiadomo, warto właśnie postawić na tego autora. To żadne kumoterstwo. Jest szansa, że ten człowiek w przyszłości kimś będzie, a jeśli nawet nie poeta, to chociaż dobrym odbiorcą literatury. I nie słuchaj gadania Jurka.

Dałem się przekonać tej argumentacji. Już nie protestowałem, tym bardziej że na tomiku bardzo mi zależało. Niecały rok później ukazał się „Serial codzienny”. Waśkiewicz zdecydował, że warto zainwestować w młodego człowieka, choć rokowania były minimalne. W środowisku zielonogórskim, gdzie wówczas studiowałem, byli zdecydowanie lepsi ode mnie poeci, osoby bardziej błyskotliwe i obyte w młodej literaturze. Moje obycie zaś było marne. Nie słyszałem o Nowej Fali, o grupie Teraz, Tylicz lub Kontekst. Nie wiedziałem, kto to jest Kornhauser, Kronhold. Podczas pierwszego wieczoru autorskiego w klubie studenckim kolega-poeta Czesław Markiewicz po prostu wyśmiał moje literackie próby (nawet nie uznając ich za wiersze). Waśkiewicz zatem sporo ryzykował. Do dziś nie wiem, dlaczego... Staram się jakoś odwdziżyć, spłacić ten kredyt zaciągnięty na poznańskim zamku i usiłuję udowodnić jemu, i wciąż sobie, że może się wówczas za bardzo nie pomylił.

Pewnego razu zapadła decyzja, że Waśkiewiczowie wyprowadzają się do Gdańska. Decyzja fatalna przede wszystkim dla Zielonej Góry. Środowisko traćło wybitnego krytyka literackiego i poetę, miasto niepowtarzalną osobowość, późniejszy o ćwierć wieku uniwersytet – potencjalnego profesora. Tłumacząc: do liczącego wówczas 38 lat autora przysłał list profesor Stanisław Jaworski z Uniwersytetu Jagiellońskiego. Proponował mu, aby jedną ze świeżo wydanych książek krytycznych Waśkiewicz obronił na polonistyce krakowskiej jako doktorat, a kolejną potraktował jako habilitację. Rzecz niespotykana! Jednak Waśkiewicz, choć początkowo zastanawiał się (mam jego odręczny początek podania do Rady Wydziału UJ), ostatecznie odmówił ubiegania się o zaszczyty naukowe. Wołał być „luźnym elektronem”. Rozważań naukowych nigdy jednak nie zaniechał.

Prof. Małgorzata Mikołajczak, literaturoznawczyni z Uniwersytetu Zielonogórskiego, pisząc kiedyś do niego list, dała nagłówek: Szanowny Panie Profesorze. – Wydawało mi się, że człowiek z taką wiedzą musi być profesorem – skomentowała po latach.

A dlaczego Andrzej zdecydował się na wyjazd do Gdańska? Były dwa powody: Kajan, nowy redaktor naczelny „Nadodrza”, zdecydowanie nie cierpiał niezależności Waśkiewicza, jego luzu, koniecznie chciał go wtłoczyć w sztywne redakcyjne ramy. Pewnie wkrótce Andrzej wyleciałby z firmy. Drugi powód: niby mieszkanie Waśkiewiczów było spore (cztery pokoje), jednak sześcioosobowa rodzina z trudem się w nim mieściła.

cdn.